

Janusz Szablicki

PARK



Janusz Szablicki

PARK

© Copyright by
Janusz Szablicki

Projekt okładki:
Janusz Szablicki

ISBN 978-83-7859-633-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2016

[Kup książkę](#)

Choć nad naszym związkiem już od dłuższego czasu zbierały się coraz to ciemniejsze chmury, dotąd zdobywaliśmy się na coś w rodzaju dialogu, wymianę choćby paru podstawowych, absolutnie niezbędnych w codziennym obcowaniu fraz. Tym razem miało się to jednak odbyć zupełnie inaczej. Akurat siedziałem w kuchni za stolikiem, pogryzając w niewesołej zadumie zapewne jednego z ostatnich tej późnej już wiosny delikjusza – jedyny gatunek jabłka, do którego konsumpcji nie trzeba mnie było specjalnie nakłaniać – kiedy od wejściowych drzwi dobiegł chrobot klucza. Byłem pewien, że za moment pojawi się w ślad za tym Beata i rzuci jakąś zdawkową uwagę, ale tym razem nic podobnego jednak nie nastąpiło. Miast tego w powietrzu zawisła jakby stężająca się z każdą upływającą sekundą, zdająca się napierać na mnie, osaczać z wszystkich naraz stron ciężka cisza. Wreszcie nie wytrzymałem: odłożywszy jabłko i nożyk na talerzyk, wybrałem się na rekonesans. Beatę odnalazłem w dużym pokoju. Wybierała z szafy poszczególne sztuki garderoby i dość niedbale układała je w rozłożonym na foteliku neseserku. Z minutę tkwiłem w drzwiach, przyglądając się tępo jej poczynaniom.

– Można wiedzieć, dokąd się tym razem wybieramy? – zagadnąłem wreszcie, dokładając starań, aby zabrzmiało to w miarę nonszalancko.

Beata nawet nie próbowała udawać, że dopiero teraz zdała

sobie sprawę z mojej obecności. Obdarzyła mnie króciutkim, zdecydowanie nie zachęcającym do pogawędki spojrzeniem.

– Nie my, ale ja! – sprostowała chłodno. Chwilę milczała, a następnie ironicznie uzupełniła: – A co, czyżby cię to jeszcze w ogóle interesowało!?

– Wyobraź sobie, że tak! – sucho oświadczyłem. – Bądź co bądź jeszcze się poczuwam do odpowiedzialności w jakimś tam stopniu za ciebie.

– Co ty nie powiesz!?! – Beata krótko, ale nader zjadliwie zachichotała. – No popatrz, a ja byłam przekonana, że o co jak o co, ale o nadmiar romantyzmu to ciebie raczej nie można posądzać!

Jeśli mam być szczery, to w tym momencie nie za bardzo wiedziałem, jak się powinienem zachować, ażeby nie wyjść na kompletnego idiotę. Stąd chyba to moje przydługie milczenie, które Beata skwapliwie wykorzystywała na doładowywanie nesesera. W końcu zdecydowałem się na, przynajmniej samokrytycznie, niezbyt właściwą na obecnym etapie naszego pożycia uwagę: – Myślisz, że się nie orientuję, co się za tymi twoimi eskapadami naprawdę kryje?

Beata nawet się nie pofatygowała zwróceniem ku mnie twarzy. Rzuciła wzgardliwie przez ramię:

– Wyobraź sobie, że poziom twojej wiedzy o mojej skromnej osobie już od dawna niewiele mnie interesuje! A zresztą ja także doskonale wiedziałam, do której ty onegdaj regularnie dreptałeś laluni. Myślisz, że to dla mnie było czymś zabawnym?

Słowem przez cały czas znajdowałem się w głębokiej defensywie. Znów chwilę pomilczałem, gorączkowo poszu-

kując w myśli sposobu na wyjście z niej z podniesionym czołem. A potem rzuciłem:

– No i jak zamierzasz zakończyć tę swoją balladę?

– Koniecznie musimy to roztrząsać akurat teraz, kiedy mi się wyjątkowo spieszy? – Beata zatrzasnęła z irytacją neseser.

To chyba właśnie ta jej odrobinę histeryczna reakcja sprawiła, iż raptem odzyskałem kontenans. Poruszyłem nonszalancko ramionami.

– No cóż, według mnie skoro już inaczej nie można, to przynajmniej wypadałoby wyjaśnić sobie parę spraw.

– Na przykład jakich? – Beata nie zdradzając większego zainteresowania moją propozycją chwyciła neseser i zdecydowanym krokiem podążyła do przedpokoj. Ruszyłem jej śladem.

– No, chociażby sprawę mieszkania.

– W jakim mianowicie sensie? – podjęła torebkę z szafki stojącej przy drzwiach wejściowych.

– Które z nas w nim pozostaje!

– A, więc tutaj cię boli! – szyderczy, jakby triumfujący chichot Beaty naprawdę dotknął mnie do żywego. – Nigdy nie było w tobie niczego poza paskudnym materialistą w najgorszym tego słowa znaczeniu! Możesz się jednak nie zmartwiać, nie dybię na ten twój jedyny dorobek życia. Jak przekroczyłam próg tego przybytku, tak i z niego odchodzę!

To oznajmiwszy energicznie roztworzyła torebkę, dobyła z niej klucze i cisnęła je w moją stronę. Instynktownie wyciągnąłem rękę w obronnym geście, ale klucze nie dosięgając mnie padły z głuchym stukotem na dywanik.

Trzasnęły pchnięte pewnie z umyślnym rozmachem drzwi; niczym echo zawtórowały im wysokim, nieprzyjemnym dźwiękiem zdającym się rozorywać trzewia z pominięciem całego aparatu słuchowego okienne szyby widać niedostatecznie usztywnione spękanym, zaschłym na wiór kitem. Jeszcze przez chwilę, dopóki na korytarzu zupełnie nie zacichł znajomy, tym jednak razem wyjątkowo pospieszny stukot obcasików, stałem na środku przedpokoju jak skamieniały, z tą zupełnie już teraz absurdalnie wyciągniętą donikąd ręką zakończoną rozcapierzonymi palcami, jakbym chciał zatrzymać czas, jednym umiejętnym szarpnięciem skorygować bieg wydarzeń, które się już właśnie dopełniły. Wreszcie jednak zdołałem się otrząsnąć z tego osobliwego otępienia; dałem krok do przodu i pochyliwszy się z pewnym trudem, podjąłem z dywaniku pęk kluczy, który ciśnięto mi przed chwilą jakby ze wzgardą pod nogi. Ułożyłem go tak ostrożnie, jak gdybym miał do czynienia z czymś niezmiernie cennym, a zarazem nader delikatnym, na szafce, w której zwykle przechowywaliśmy obuwie. Machinalnie przekręciłem dwakroć zasuwkę zamka.

Napięcie wywołane tą finalną rozmową spływało ze mnie niespieszną falą. Prawdę powiedziawszy czułem się obecnie tak, jakbym się unurzał w jakichś bliżej nieokreślonych nieczystościach po samą szyję. Impresja owa była tak sugestywna, że w pewnym momencie ogarnęło mnie wprost niemożliwe do okiełznania pragnienie bezzwłocznego wzięcia kąpieli. Niczym zaprogramowany przez kogoś automat skierowałem swe kroki do łazienki. Natychmiast po przekroczeniu jej progu nozdrza wypełnił mi szczelnie konglomerat

różnorakich woni: znane mi doskonale od wielu lat perfumy, mydło toaletowe w dobrym gatunku, jakieś kremy do twarzy i dłoni... Ich intensywność niedwuznacznie wskazywała, iż wszystko to było w użyciu zaledwie przed chwilą. Przez głowę przemknęła mi melancholijna myśl, że pewnie doprowadziła do tej gwałtownej scysji bynajmniej nie pod presją chwilowego impulsu, spontanicznie, ale z pełną premedytacją. I że od samego początku nie miała ni krzty wątpliwości co do jej zakończenia się, wpierw bardzo starannie przygotowawszy się właśnie tutaj do opuszczenia naszych wspólnych aż do tej chwili progów z hardo podniesioną głową, odpowiednio skorygowaną urodą, tak aby dotarło do mnie w całej pełni, co wraz z jej odejściem tracę!

Rozglądnąłem się za zapalkami; naturalnie leżały jak zwykle nie tam gdzie powinny, na małej półeczce poniżej okupującego dobre pół ściany lustro, lecz na pralce, w dodatku pod dość udatnie maskującym je otwartym futerałem mej maszynki do golenia. Wcisnąwszy do oporu włącznik gazu, wetknąłem do otworu piecyka zapaloną zapalkę. Wolniutko policzyłem do piętnastu – czas niezbędny, jak mi było wiadomo z autopsji, do otworzenia przez blaszkę z biometalu dopływu gazu – i odkręciłem kurek ciepłej wody. Już od dość dawna nie czyszczony palnik buchnął wesołym fioletowym płomieniem, przez otwór wyleciały dwie isierki i zaczęły wolno opadać do wanny, dogasając na jej wilgotnym dnie. Podstawiwszy dłoń pod strumień wody odpowiednio podregulowałem jej ciepłość, po czym pozbyłem się odzieży i, przełączwszy wodę na prysznic, wszedłem pod jego cieniusieńkie, chwilami aż do bólu kąśliwe, zarazem jednak

wielce orzeźwiającej strużki.

A więc właśnie tak wygląda kres, ostateczne obrócenie się w gruzy naszego blisko dziesięcioletniego pożycia! Uczucia, jakie mnie w tym momencie przepełniały, były nader zróżnicowane, chwilami nawet antagonistyczne w stosunku do siebie. Przejmujący żal za tym, co nas tak mocno łączyło przez lat dziewięć, kiedy to jeszcze razem wytyczaliśmy sobie wszystkie cele i wspólnie były konstruowane metody mające prowadzić do ich osiągnięcia, ale równocześnie i bezmierna ulga, że oto ten prawdziwy – przynajmniej dla mnie! – koszmar paru ostatnich miesięcy pozostawiam już wreszcie za sobą. Coraz to późniejsze powroty, z trudem maskowane rozdrażnienie wywoływane niemal każdym moim gestem, byle słowem. I coraz to rzadsze i krócej trwające okresy pojednań, które zresztą najczęściej wyglądały li tylko jak strategiczne zawieszenia broni, albowiem już przecież zdawaliśmy sobie w gruncie rzeczy obydwoje sprawę, iż nie jest im sądzony nazbyt długi żywot. Jeżeli o mnie idzie, to myślę, że wtenczas nie byłem jednak jeszcze tak do końca zdecydowany: chyba nie chciałem palić za sobą wszystkich mostów, nie wygasł jeszcze bowiem we mnie ze szczętem irracjonalny sentymentalizm, pamięć o tym, co nas tak mocno niegdyś łączyło.

Mocno zacisnąwszy oczy podstawilem twarz pod ostry strumień wody. Do niedawna miałem jeszcze pewnie jakąś tam szansę na przestawienie biegu wydarzeń na troszeczkę inne tory. Lecz pomimo że, przynajmniej na samym początku, naprawdę szczerze tego pragnąłem, nie uczyniłem w tym kierunku literalnie nic. Jeśli mam być zupełnie szczerzy,

nie potrafiłbym także powiedzieć, co było główną tego przyczyną: boleśnie urażona męska ambicja czy może raczej niewątpliwie bardzo mocno zakorzenione we mnie przeświadczenie, iż każdy bez wyjątku człowiek ma niezbywalne prawo do swobodnego decydowania o swoim losie? Zresztą myślę, że w grę najprawdopodobniej wchodziło po trosze zarówno jedno, jak i drugie. Bo przecież już od dłuższego czasu doskonale wiedziałem, co, a mówiąc konkretniej – kto się za tym wszystkim ukrywa, jak w rzeczywistości przedstawiają się sprawy. Ostatecznie nie żyliśmy przecież na bezludnej, bezlitośnie wypranej słoneczną pożogą z wszelkich przejawów życia pustyni, więc na przestrzeni tych paru lat zdążyliśmy obrosnąć wcale pokaznym kręgiem bliższych i dalszych znajomych. Z ich półsłówek rzucanych w najrozmaitszych sytuacjach, niewątpliwie z najróżnorodniejszymi przyświecającymi im intencjami, mogłem sobie z powodzeniem utkać w miarę adekwatny do rzeczywistości obraz sytuacji.

Ciśnienie wody raptem znacznie się zmniejszyło i za sprawą szczególnie wyczulonej na tego rodzaju niespodzianki membrany zgasł palnik. To dawały o sobie znać ostre niedobory wody występujące dość często w ostatnim czasie na co wyższych piętrach osiedlowych bloków. Znalezienie się za moment pod kaskadą lodowatej wody bynajmniej nie stanowiło szczytu moich marzeń, więc niczym oparzony pośpiesznie wyskoczyłem z wanny. Zresztą kąpiel już w zasadzie spełniła pokładane w niej nadzieje, moja psychika powróciła bowiem do stanu względnej równowagi. Szorując bardzo energicznie plecy grubym frotowym ręcznikiem zastanawiałem się jednocześnie, czym by tu sobie wypełnić

tych parę godzin dzielących mnie od normalnej pory kolacji. Wreszcie zadecydowałem, że najlepszym, co mogę obecnie uczynić, będzie zaczerpnięcie świeżego powietrza.

Kiedy w pół godziny później wynurzyłem się z jeszcze odrobinę wilgotną czupryną z głębokiego cienia wypełniającego podziemne przejście udatnie niemal scalające w jeden organizm Osiedle z Parkiem, odruchowo musnąłem okiem tarczkę ciasno opinającego mi przegub zegarka. Było dokładnie trzynaście minut po szesnastej. Przede mną rozpościerały się późnowiosenne, soczyste dywany zieleni pocięte szarawymi wstęgami asfaltowych alejek, na których po nocnej ulewie lśniły jeszcze tu i ówdzie niewielkie, nieregularne lustra kałuż, nade mną natomiast wisiał błękit nieba z mnóstwem jasnoszarych wystrzępionych obłoczków i z dość jeszcze wysoko – bądź co bądź były to przecież najdłuższe dni w roku! – stojącym słońcem.

Jak przystało na człowieka, którego akurat nie przynaglały żadne szczególne, wymagające pośpiechu obowiązki, ogarnąłem to wszystko leniwym wzrokiem, zastanawiając się przez chwilę, którą z alejek wiodących w jego głąb wyróżnić. Wreszcie splótłszy za plecami dłonie palcami, ruszyłem bez pośpiechu tą, która przebiegała w bezpośrednim sąsiedztwie białoczerwonoceglastej, szerokookiennej siedziby parkowej Dyrekcji. Dzień był co prawda bardzo ciepły, ale jednak nie upalny; głównie chyba dlatego, iż zda się równie jak i ja w tej chwili leniwie pełznące po niebiosach jasnoszare chmurki coraz to figlarnie przysłaniały rozpaloną tarczę Słońca. W tej części Parku w dni powszednie, o tej porze dnia, zwykle nie spotykało się zbyt wielu miłośników spacerów. Nie było więc

w tym nic dziwnego, że po wyróżnionej przeze mnie alejce w moją stronę zmierzała tylko jedna bardzo ciasno wtulona w siebie ramionami, spleciona dłońmi para zdająca się poza sobą w ogóle nie widzieć świata. Kiedy dzieliło mnie już od niej nie więcej niż parę metrów, nagle skonstatowałem z niemalym zdziwieniem, iż tworzący ją mężczyzna i kobieta są znacznie starsi, aniżeli dotąd sądziłem, głównie opierając się na ich gestach. Przeszyło mnie coś na kształt zazdrości, która jednak niemal natychmiast przemieniła się w gorzką ironię: na jak długo może im jeszcze starczyć tej młodzieńczej czułości, owego zapatrzenia w siebie? Kobieta jakby odgadując moje nieczne myśli oderwała na moment dłoń od dłoni swojego partnera i zmierzyła mnie od stóp do głów niechętnym, twardym spojrzeniem. Zażenowany, jakby mnie właśnie przydybano na czymś wyjątkowo podłym, odwróciłem oczy i szybko ich wyminąłem.

Na rozważenie, czy aby nie warto wstąpić do przeświecającej pomiędzy drzewami, pobudowanej na rustykalną modłę Zielonej Doliny dla przekąszenia czegoś, poświęciłem tylko króciusieńką chwilę: niedawno temu, po nieco wcześniejszym aniżeli zwykle opuszczeniu biura, jakby przeczuwając którymś tam zmysłem, że dzisiaj mogą mnie czekać niejake kłopoty ze skonsumowaniem obiadu w domu, wstąpiłem po drodze do Alle Pizza i uraczyłem się zupełnie niezłą – jakżeby zresztą mogło być inaczej w tak jednoznacznie ochrzczonej lokalu?! – pizzą, więc głód mi jeszcze nie doskwierał, a za piwem jakoś nigdy specjalnie nie przepadałem. No, gwoli prawdy sytuacja wyglądała troszeczkę inaczej w wyjątkowo upalne dni; ale wtedy to już raczej nosiło charakter niele-

dwie zwykłego medycznego zabiegu, związane było pewnie w jakiś niezbyt jasny sposób z podświadomym pragnieniem uzupełnienia w organizmie wypacanych nazbyt intensywnie soli i tym podobnych ponoć niezbędnych do życia składników. W chwili obecnej nade wszystko potrzeba mi jednak było po prostu spokoju, a ten – jak wiedziałem z autopsji – najłatwiejszy był do odnalezienia w północnych, najbardziej odległych od głównych wejść, a więc i zwykle najrzadziej odwiedzanych rejonach Parku. Pomaszerowałem przeto noga za nogą dalej, kontemplując majestatyczne przesuwanie się ponad koronami drzew krzesełek Elki, z których znakomita większość, zresztą jak zwykle o tej porze dnia powszedniego, świeciła bezwstydnie pustką.

Już niejednokrotnie zdarzało mi się zastanawiać nad tym, jak przy tak mizernej frekwencji, na dobitkę przy tak stosunkowo nisko skalkulowanych opłatach za bilety uprawniające do przejazdu, może się ona w ogóle utrzymywać przy życiu w dobie, kiedy jedynym uzasadnieniem istnienia danej inwestycji jest wysokość generowanych przez nią zysków?

A może była ona po prostu specyficzną egzemplifikacją sytuacji całego Parku? – przemknęła mi w pewnym momencie przez głowę przekorna myśl. Przecież już od ładnych paru ostatnich lat nieustannie wisiał nad nim miecz Damoklesa; groziło totalne zaprzepaszczenie rezultatów tych wszystkich wysiłków podejmowanych gdzieś bodaj od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku dla przekształcenia owych 600 hektarów szpecących i bez tego nie zanedo rozkoszny pejzaż przemysłowych nieużytków, takich jak na przykład paskudnie cuchnące siarką hałdy, wysypiska śmieci

i żalosne resztki pamiętających jeszcze okres przedwojenny, bynajmniej nieprzysparzających chluby ówczesnym rządzącym biedaszybów w jedyny w swoim rodzaju, jeden z – bez najmniejszej przesady – największych w Europie obiekt przyrodniczo–rekreacyjny, swoisty filtr potrafiący bardzo skutecznie regulować skład powietrza, redukować zawarte w nim zanieczyszczenia emitowane bez opamiętania przez setki zlokalizowanych w tym umęczonym, zdewastowanym nieomal do granic ekologicznej katastrofy rejonie. Jak gdzieś kiedyś przeczytałem, rosnące w nim drzewa i krzewy nie tylko że dawały wytchnienie oku, ale i potrafiły zarazem przetworzyć w ciągu roku ponad tysiąc ton nieustannie opadających na teren Parku pyłów przemysłowych oraz dać w zamian z górą trzy tysiące ton tlenu. W tamtych czasach – to znałem oczywiście już nie z autopsji, ale z opowieści tych krewnych, którzy się tu gnani wojenną zawieruchą niegdys osiedlili – zainteresowanie towarzyszące tworzeniu tego niewątpliwie podnoszącego znacząco komfort życia tworu wśród okolicznych mieszkańców było ogromne i jak najbardziej autentyczne. Ludzie w wolnych chwilach pracowali przy nasadzaniu drzewek i krzewów, wykonywali prace porządkowe; istniał ponoć nawet jakiś tam wojewódzki fundusz wspierający rozwój Parku, na który z pensji potracano jednostkowo co prawda niewielkie, ale w sumie, z uwagi na liczbę ludzi zamieszkujących i zatrudnionych w województwie, zapewne dość jednak znaczące dla jego funkcjonowania fundusze. Obecnie natomiast jego istnienie permanentnie stawало co jakiś czas pod wielkim znakiem zapytania, mieszkańcom stanowiącego jego integralną część, Ogrodu Zoo-

logicznego, z górą trzem tysiącom zwierząt, często zaglądał w oczy autentyczny głód, a samemu Parkowi, w dosłownym tego słowa znaczeniu dziełu rąk zamieszkałych w okolicznych miastach ludzi – rozparcelowanie na prywatne działki!

Nie znałem zbyt dobrze szczegółów tak mało atrakcyjnego stanu rzeczy ani jego genezy. Prasa, zwłaszcza lokalna, co prawda dość ostatnio często rozpisywała się o powtarzających się z regularną cyklicznością perturbacjach Parku, ale mnie z powodu chronicznego braku czasu raczej trudno byłoby zaliczyć do zbyt gorliwych jej czytelników. Prawdopodobnie winę za nie w jakiejś tam mierze dałoby się przypisać także kolejnym, coraz częściej zmieniającym się w miarę pogłębiania się kryzysu dyrekcjom, nie potrafiącym we właściwy sposób zagospodarować wcale przecież niewielkich aktywów Parku, między innymi właśnie tej jedynej w swoim rodzaju nizinnej kolejki linowej, ale też całego szeregu restauracyjek i barów tudzież innych obiektów, tak aby ich dzierżawa przynosiła prawdziwie godziwe dochody. Ale zasadnicze zło prawdopodobnie wzięło się stąd, iż Park w pewnym momencie został przez jakichś tam szczególnie intensywnie, a zwłaszcza efektywnie myślących urzędasów funkcjonujących w centralnej administracji przekształcony ni z gruchy, ni z pietruchy z przedsiębiorstwa państwowego w Spółkę Skarbu Państwa, co automatycznie, w całym majestacie prawa odcięło go od wszelkich dotacji, podczas gdy przecież na całym świecie tego rodzaju obiekty są z chybą dla wszystkich, oprócz tych akurat panów, zrozumiałych względów traktowane jak instytucje użytku publicznego, a nie jak za przeproszeniem pierwszy lepszy zakład produkcyjny

wytwarzający dajmy na to kalosze! Za miarodajną ilustrację mógłby tu na przykład posłużyć Central Park o mniej więcej o połowę mniejszej powierzchni, na utrzymanie którego miasto Nowy Jork bez szemrania przeznaczą rokrocznie niebagatelną kwotę 14 milionów zielonych. Tym jednak razem ów przykład płynący przecież z kraju tak ochoczo stawianego nam przez naszych nieocenionych decydentów najrozmaitszej maści za niedościgniony wzór wszelakich cnót, jakoś nie zdołał pobudzić ich samych do w miarę racjonalnego myślenia, co w przypadku takiego jak Park obiektu prędzej czy później, jeżeli się ktoś wreszcie nie ocknie, doprowadzi do jego ostatecznego i już niemożliwego do odwrócenia ukatrupienia!

Dopiero po osiągnięciu krańca wodnego toru podjąłem decyzję co do dalszej marszruty. W efekcie tego pomaszerowałem jeszcze wolniej aniżeli dotychczas – do pokonania było teraz lekkie wzniesienie – alejką mającą po swej lewej stronie dość gęsto zadrzewioną partię kąpieliska, po prawej zaś – urozmaicony różnokształtnymi liszajami odpadłego tynku średniej wysokości murek, zza którego od czasu do czasu dobiegały różnorakie odgłosy codziennego życia rozmaitych rezydentów ZOO. Alejka aż do samego jej wylotu, tam gdzie murek przemieniał się w bramę z ciężkich metalowych prętów, dzisiaj zamkniętą na głucho, niegdyś jednak, kiedy chętnych do odwiedzania tego przybytku było o wiele więcej aniżeli obecnie, pełniącą funkcję dodatkowego wejścia na teren Zoologicznego Ogrodu, była zupełnie pusta. Znajdowałem się już mniej więcej w jej połowie, kiedy raptem poczułem, że dzieje się ze mną coś nader dziwnego. Jakby

mi nagle zwiotczały nogi, przed oczyma zatańczyły w iście szaleńczym wirze maleńkie, czarne jak smoła przecinki znacząco zmniejszające ostrość widzenia, a serce zatrzepotało w piersiach niczym najprawdziwszy motyl zamknięty w dłoni i równie usilnie, co daremnie poszukujący drogi ucieczki.

W głowie rozbłysła mi trwoźna myśl, iż może to mieć coś wspólnego z prologiem ataku serca. Nie miało przy tym większego znaczenia, iż jak dotąd nigdy nie zaobserwowałem żadnych niepokojących sygnałów ze strony tego swego narządu! Sam byłem przecież podczas studenckich czasów naocznym świadkiem tego, jak jeden z kolegów, wyjątkowo wysportowany dwudziestodwulatek, w szarży na bramkę przeciwnika nagle padł na murawę niczym porażony piorunem. Naturalnie wszyscy byliśmy święcie przekonani, że go ktoś po prostu ordynarnie skosił w ferworze zaciętej walki, ale kiedy mijały sekundy, a on nie dawał najmniejszego znaku życia, któryś z nas wreszcie uznał, że jest nieodzowne wezwanie karetki pogotowia. Przybyłemu lekarzowi nie pozostało już jednak niestety nic innego do zrobienia, jak tylko stwierdzić zgon. Mnie jednakowoż taki los nie był pewnie jeszcze pisany, gdyż po kilku dalszych sekundach wszystkie te wielce niepokojące symptomy ustąpiły jak ręką uciął. Pozostały po nich jedynie ciężkie krople lodowatego potu obficie perlące mi czoło. Na wszelki wypadek jeszcze przez chwilę wsłuchiwałem się z czujną podejrzliwością w swój organizm. Ponieważ jednak wszystko wydawało się już funkcjonować bez zarzutu, po krótkim wahaniu i odruchowym zerknięciu na zegarek – okazało się, że jest dopiero szesnasta czterdzieści pięć – postanowiłem, iż nie będę zmieniał swoich planów na

dzisiejsze popołudnie.

W jakiś czas później sforsowałem już nie tyle parkową alejkę, ile miejscami naprawdę stromą ścieżynkę przesmykującą się przez tę część Parku, która chyba już w założeniu miała odgrywać rolę autentycznego pierwotnego lasu, i wyszedłem na wprost szarej, przysadzistej bryły Planetarium zwieńczonej doprawdy imponującą kopułą, zwłaszcza kiedy była tak jak właśnie teraz obficie skąpana w słonecznych promieniach. Klinkierowa droga poprowadziła mnie nieopodal mocno zarośniętego czymś w rodzaju tataraku stawiku, od którego dobiegało smętne pokumkiwanie żab. Po minucie lub dwóch, kiedy kopuła Planetarium na dobre skryła się przed moimi oczami, uznałem, że spacer spełnił już pokładane w nim nadzieje, przywracając mi względną równowagę psychiczną, wobec czego postanowiłem zawrócić. I właśnie w tym momencie wyłowiłem spośród beztroskich treli ptactwa buszującego w rozbuchanej zieleni koron drzew jakieś inne dźwięki, które właściwie nie wiedzieć dlaczego wydały mi się tutaj zdecydowanie nie na miejscu. Najbardziej kojarzyły mi się one z jakimiś nawoływaniem, niecierpliwymi pokrzykiwaniami od czasu do czasu urozmaiconymi niegłośnymi uderzeniami metalu o metal. Wróślszy w brunatnawy klinkier nastawiłem uszu, usilnie próbując zidentyfikować miejsce ich rodzenia się. Wydało mi się, iż dobiegają z jakiegoś obiektu nader niewyraźnie prześwitującego poprzez listowie dość tutaj gęsto rosnących krzewów. Po dobrej chwili – prawdę powiedziawszy dopiero po strzeleniu okiem w górę i ujrzeniu solidnej liny tnącej na dwoje poszarzały nieboskłon i doczepionego do niej, jakby leciu-

teńko podrygującego pustego krzeselka – dotarło do mnie, iż mam przed sobą jedną ze stacji linowej kolejki. Zaciękawiony postanowiłem sprawdzić, co się tam wyprawia, i ostro ruszyłem ku niej.

W pierwszym momencie ani mi naturalnie nie postało w głowie, że za unieruchomieniem kolejki może się kryć coś innego, aniżeli prosta konieczność umożliwienia komuś tam bezpiecznego zakończenia powietrznej podróży: albo niezbyt już sprawnemu z powodu zaawansowanego wieku starszkowi, który ni z tego, ni z owego, być może pod wpływem błędnie już odczytywanego języka pobudzonych wiosennymi powiewami hormonów, zapragnął wejść za marne 5 złotych w rolę Ikara, by z wysokości paru metrów rzucić okiem na wystrojony w urzekającą wiosenną roślinną szatę pejzaż Parku, a teraz miał kłopoty z bezawaryjnym powrotem na trwały grunt, albo też matki z dzieckiem zbyt jeszcze małym na to, aby mogło samodzielnie, bez szkody dla siebie spełznąć z ławeczki podczas jej przemieszczania się ponad betonowym peronem. Kiedy jednak podszedłem troszeczkę bliżej, ku pewnemu mojemu zaskoczeniu okazało się, że nikt tam nikomu w niczym nie pomaga. Ba, w strefie przyjazdów i odjazdów akurat nie było nawet żadnej ławeczki! Jedna z tych, które nadpływały od strony stacji usytuowanej przy Wesołym Miasteczku, zresztą pusta, tkwiła ponad zabezpieczającą siatką stanowiącą swoiste preludium właściwej rampy, ta natomiast, która miała odjechać w kierunku Stadionu, także pusta, wisiała już ponad trawnikiem, dobre dwa metry od siatki. Ale następną ławeczkę przybyłą od Wesołego Miasteczka okupowali mężczyzna w wieku średnim i chyba

troszeczkę od niego młodsza kobieta. Szybko się zorientowałem, że to właśnie jemu mam do zawdzięczenia, iż gnany ciekawością w ogóle się tutaj zjawilem: co jakiś czas donośnymi okrzykami ogłaszał wszem i wobec swoją głęboką dezaprobatę wobec porządków panujących pośród obsługi urzędnika, z którego akurat miał wątpliwą przyjemność korzystać, przeplatając to groźbami, iż niechybnie zażąda od powołanego w końcu nie do czego innego, tylko właśnie do nadzoru nad jego prawidłowym, to znaczy bezawaryjnym funkcjonowaniem kierownictwa stosownej pieniężnej rekompensaty, o ile autokar, którym przybył do Parku wraz z jakąś tam wycieczką, z powodu tego pożałowania godnego incydentu odjedzie bez niego. Ilekroć przy tym w zdenerwowaniu gwałtownie podskakiwał, wprawiając tym ławeczkę, a wraz z nią i dźwigającą ją linę w niespokojny dygot, tylekroć dotrzymująca mu towarzystwa dama wydawała z siebie trwożliwe popiskiwanie. Dwie następne ławeczki świeciły pustką, ale pasażerom trzeciej z kolei, na poły zakrytym przed moimi oczyma rozłożystą, szczerze obsypaną liśćmi koroną drzewa – chłopiec i dziewczyna, tak na oko po dwadzieścia kilka latek – ta raczej odbiegająca od codzienności sytuacja zdawała się natomiast w pełni dogadzać: obejmowali się bowiem ciasno ramionami i coraz to przybliżali do siebie twarze, pewnie całując się z zapamiętaniem.

Przeniosłem niewiele z tego wszystkiego rozumiejący wzrok na stacyjny peron. Nie było tu co prawda tłumu, ale przy kasie, na schodkach scalających asfalt placzyku z platformą stacji stało jednak parunastu gapiów, pewnie rekrutujących się z byłych tudzież potencjalnych użytkowników